



MIROSŁAW DERECKI

Z HISTORII NAJNOWSZEJ: GIGANTYCZNY BLUFF (II).

OPERACJA „FORTITUDE”

We wrześniu 1843 r. angielskie służby wywiadowcze uruchomiły tzw. System „Ultra”. Dzięki niemu można było przechwytywać i rozszyfrowywać wszystkie niemieckie depeze wojskowe. „Ultra” stanowiła angielską wersję niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma” i pracowała w super tajnym ośrodku Intelligence Service w Bletchley Park pod Londynem. Anglików niezwykle satysfakcjonowało złamanie kodu „Enigmy”. Tylko nie chcieli się przyznać, że sukces ów zawdzięczali... Polakom.

Jeszcze przed wojną trzech młodzi polscy matematycy. Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski, współpracujący z Ekspozyturą Biura Szyfrów przy Oddziale II polskiego Sztabu Głównego, zdołali w ośrodku dekryptażu BS-4, mieszczącym się w Pyrach pod Warszawą, rozszyfrować - prawie do końca - „sekret” niemieckiej „Enigmy”. 24 Lipca 1939 r. dwa egzemplarze polskiej „Enigmy” przekazano sojusznikom; odebrali je płk Bertrand z Biura Szyfrów francuskiego Deuxième Bureau oraz kmdr Demistron z angielskiej służby wywiadowczej. Współpraca z Anglikami trwała dalej po przeniesieniu się polskich kryptologów (po klęsce wrześniowej) do Francji, do ośrodka „Bruno” pod Paryżem, a wreszcie - do nieokupowanej części Francji, gdzie działała placówka nasłuchu i dekryptażu „Cadix”.

I dlatego zarówno słowa Churchilla: „To właśnie dzięki uruchomieniu na wszystkich frontach placówek Broni Sekretnej gen. Menizesa (szefa Intelligence Service - MD) wygraliśmy wojnę”, jak też lapidarne stwierdzenie gen. Eisenhowera: „Zadecydowała „Ultra”, nie powinno nigdy pozostać bez komentarza, że było to w znacznej mierze możliwe dzięki pracy polskich uczonych i działalności polskiego kontrwywiadu”.

Odczytując bez brudu wszystkie niemieckie tajne depeze, Anglicy zorientowali się, jak niesłychanie ważnym i wiarygodnym informatorem jest dla Niemców ich, działający na terenie Wielkiej Brytanii, agent „Brutus”, czyli... polski oficer Roman Czerniawski, pracujący w brytyjskim „systemie podwójnych agentów”).

Każda wiadomość wysyłana przez „Brutusa” z Anglii do płk. Oskara Reile z ośrodka Abwehry w Paryżu była natychmiast kodowana systemem „Enigmy” i przesyłana do berlińskiej centrali Abwehry z adnotacją: „Źródło - agent wyjątkowo ważny”. Oznaczało to, że wiadomości przesyłane przez „Brutusa” darzono całkowitym zaufaniem. Był dla Niemców agentem wybitnym, dostarczającym bezcennych wiadomości o przeciwniku.

I wtedy właśnie Anglicy postanowili wykorzystać „Brutusa” jako główny „atut” w przygotowywanej od pewnego już czasu Operacji „Fortitude”. Zdecydowano się na jej realizację w styczniu 1944 r., ale w czyn zaczęto wprowadzać ją w dwa miesiące później, w marcu 1944 r., gdy przygotowania do inwazji aliantów w Normandii szły już pełną parą. Krótko mówiąc: chodziło o gigantyczny bluff wobec Niemców. Należało przedsięwziąć takie działania, aby Niemcy ponad wszelką wątpliwość upewnili się, że inwazja nastąpi w rejonie Pas-de-Calais we Francji, tam gdzie Kanał La Manche jest najwęższy, a wszystkie ewentualne inne lądowania wojsk alianckich są działaniami pozoracyjnymi. Mającymi na uwadze odwrócenie uwagi wojsk feldmarszałka Rundstedta od głównego natarcia armii generała Eisenhowera. Żeby zaś Niemcy taką pewność uzyskali, trzeba było „udowodnić” im, że w południowo-wschodniej Anglii, naprzeciwko Pas-de-Calais, stoi milionowa armia aliancka, szykująca się do inwazji. Armia... której nigdy tam nie było, która zaistnieć miała tylko pozornie! Słowem: armia-miraż. To właśnie w celu przeciwstawienia się owej „armii” Niemcy mieli trzymać w pogotowiu największą liczbę z posiadanych we Francji swej 60 dywizji, najwięcej dywizji pancernych, nie przejmując się „incydentem” w Normandii.

Trzeba było - jak się już rzekło - stworzyć armią nie istniejącą. I taką armię Anglicy, „zorganizowali”... W wyobraźni, na papierze, w eterze, i - w meldunkach szyfrowych superagenta niemieckiego „Brutusa”.

Owa „armia” nazywała się „First U.S. Army Group (w skrócie: „F.u.s.a.g.”) - 1 Amerykańska Grupa Armii. „Składała się” z dwóch armii: 1 Armii kanadyjskiej oraz 3 Armii amerykańskiej. Razem - „stanowiło to” dwadzieścia dywizji, w tym - pięć pancernych. Milion ludzi - pod dowództwem słynnego amerykańskiego generała Pattona.

Nieprzypadkowo zdecydowano się na „powierzenie” Platonowi tak trudnego, odpowiedzialnego i skomplikowanego działania jak „inwazja” na Pas-de-Calais. Gen. George Smith Patton, liczący wówczas 59 lat był doskonałym, doświadczonym dowódcą, a zarazem postacią niezwykle barwną, znaną doskonale w całym wojsku alianckim. Umiał nawiązać kontakt z żołnierzami, (co zawdzięczał m. in. swemu przebogatemu - jędrnemu i dosadnemu „żołnierskiemu” słownictwu, którego zwykł używać w każdej okazji, nie tylko na pierwszej linii frontu), przede wszystkim jednak posiadał doskonały wojenny życiorys. W czasie I wojny światowej pełnił funkcję adiutanta naczelnego dowódcy wojsk amerykańskich we Francji, gen. J. Pershinga; następnie powierzono mu dowództwo 1 amerykańskiej brygady

czołgów. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do obecnej wojny dowodził kolejno brygadą, dywizją i korpusem pancernym, a w 1942 r. - amerykańskim zgrupowaniem bojowym podczas lądowania aliantów w Afryce. Na Sycylii dowodził 7 Armią amerykańską.

Tak, więc głównym informatorem Niemców i dostarczycielem wiadomości na temat 1 Amerykańskiej Grupy Armii miał być „Brutus”. Dlatego natychmiast po zdecydowaniu się na rozpoczęcie Operacji „Fortitude” został on oficjalnie „odkomenderowany” przez polski Sztab Generalny, gdzie dotychczas pracował, jako polski oficer łącznikowy - do sztabu generała Pattona i sztabu gen. Eisenhowera. Taka „pozycja” miała dawać „Brutusowi” nieocenione „możliwości” uzyskiwania tajnych wiadomości wprost „z pierwszej ręki”. Teraz poprzez eter zaczęły płynąć do pułkownika Reile w Paryżu sążniste raporty „Brutusa” na temat 1 Grupy Armii gen. Pattona...

Lecz przecież - tak jak w poprzednich miesiącach i latach jego działalności - Niemcy mogli chcieć sprawdzić wiarygodność informacji „Brutusa”. Dlatego nie ograniczono się jedynie do meldunków radiowych niemieckiego super agenta. Towarzyszył im odpowiedni kamuflaż „naziemny”, swoista „dekoracja teatralna” rozbudowana przez Anglików na nieprawdopodobną wręcz skalę. Zamówiono w Stanach Zjednoczonych setki wykonanych z cienkiej gumy makiet czołgów, samolotów, dział samobieżnych, w wielkości naturalnej. Po dostarczeniu krytymi ciężarówkami, w zapieczętowanych skrzyniach, do odpowiednich „rejonów koncentracji” w południowo-wschodniej Anglii wszystkie te „pojazdy bojowe”, nadmuchiwano i ustawiano, „zamaskowane” w miejscu obozowania ich „macierzystych jednostek”. Wykonywane przez niemieckie samoloty zwiadowcze zdjęcia „potwierdzały” niezbicie obecność w polu dywizji pancernych. Aby „usatysfakcjonować” z kolei niemiecki wywiad radiowy – w „rejonie koncentracji” 1 Amerykańskiej Grupy Armii krążyły umieszczone na samochodach angielskie i amerykańskie wojskowe krótkofalówki, pozorując wymianę rozkazów i meldunków między poszczególnymi „jednostkami”, prowadząc nawet między sobą „kłótnie” (na szczeblu batalionu czy kompanii) na temat niedostatecznego zaopatrzenia, organizacyjnego bałaganu itp. Puste angielskie lasy i pola rozbrzmiewały w eterze życiem setek tysięcy żołnierzy... Wreszcie - od dawna rozszyfrowanym i kontrolowanym przez Anglików niemieckim agentom nakazano czynić w ich raportach dla Abwehry ciągle aluzje, co do istnienia 1 Grupy Armii gen. Pattona. Poza tym wszystkim wciąż nasilały się bombardowania lotnicze na pozycje niemieckie w rejonie Pas-de-Calais. Coraz więcej było w tamtym rejonie akcji sabotażowych ze strony francuskiego ruchu oporu. Mogły też dochodzić Abwehrę wieści o organizowaniu dywersyjnej akcji „Monika”, przygotowywanej przez polskie organizacje podziemne we Francji pospołu ze specjalnymi służbami w Anglii...

Wszystko się „zgadzało”. Tak idealnie, że szef sztabu Hitlera, generał Jodl, miał się wyrazić o raportach „Brutusa” z najwyższym uznaniem: „Praca tego agenta pozwala nam dokładnie prześledzić plan przygotowywanej przez aliantów inwazji”.

Operacja „Fortitude” była absolutnie „szczelna”; nawet generał de Gaulle nie znał prawdy o gigantycznym bluffie!

Nadszedł wreszcie ów słynny „Najdłuższy dzień” - dzień inwazji aliantów w Normandii. 6 Czerwca 1944 r., przed świtem, zrzucono w Normandii trzy dywizje powietrzno-desantowe mające zabezpieczyć oba skrzydła rejonu lądowania, a o godzinie 6.30 rano lądować zaczęły pierwsze oddziały I Armii amerykańskiej i 2 Armii brytyjskiej na 80-kilometrowym odcinku wybrzeża pomiędzy Quineville a ujściem rzeki Orne, starając się uchwycić pięć planowanych przyczółków: „Utah”, „Omaha”, „Gold”, „Juno” i „Sword”. W ciągu najbliższego tygodnia miało na normandzkim brzegu wylądować 16 dywizji (w tym dwie pancerne) pierwszego rzutu wojsk alianckich: ponad trzysta tysięcy ludzi i 54 tysiące różnego rodzaju pojazdów! Lądowanie wspierało 11 tys. samolotów bojowych i 2 tys. transportowych; w desancie brało w sumie udział 5 tys. okrętów i 4 tys. statków transportowych.

W czasie, gdy w Normandii zaczęły lądować pierwsze oddziały desantowe, Niemcy mieli tam 9 dywizji piechoty i 1 dywizję pancerną. Na skutek różnicy zdań pomiędzy feldmarszałkiem Rundstedtem, głównodowodzącym wojskami niemieckimi we Francji, a generałem Błaskowiczem, dowódcą Grupy Armii „G” stojącej na Riwierze i na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej, większość niemieckich jednostek pancernych pozostawała w odwodach. Było to wynikiem kompromisu pomiędzy poglądami obydwu dowódców na sposób, w jaki miała być odpierana inwazja aliancka.

Dowiedziawszy się o lądowaniu wojsk alianckich w Normandii von Rundstedt kazał natychmiast wyruszyć tam dwóm dywizjom pancernym, znajdującym się w odwodzie o sto kilometrów od rejonu desantu.

Rozkaz zaczęto niezwłocznie realizować, ale już po niespełna godzinie nadszedł z Berlina specjalny rozkaz wydany przez gen. Jodla, aby dywizje te zawrócić z marszu. Miały być potrzebne w odpieraniu inwazji... w Pas-de-Calais!

Tego samego dnia, 8 Czerwca 1944 r., „Brutus” nadał swój „historyczny”, ostatecznie mylący Niemców meldunek, mówiący o tym, że przed kilkoma godzinami widział króla Jerzego VI, Winstona Churchilla i gen. Eisenhowera w bojowej kwaterze dowódcy 1 Amerykańskiej Grupy Armii gen. Pattona, w Dover.

Jeszcze 10 czerwca 1944 r., gdy w Normandii walczyły już setki tysięcy alianckich żołnierzy. Hitler nie tylko nie zgodził się na uszczuplenie stanu wojsk niemieckich zgrupowanych na północy Francji, ale co więcej, nakazał jak najszybsze kierowanie dwóch stacjonujących w Polsce pancernych dywizji SS. do Francji w rejon Pas-de-Calais. Chciał być szczególnie dobrze przygotowany na powitanie Pattona...

Przez pewien jeszcze czas „Brutus” karmił Niemców nieprawdziwymi wiadomościami mającymi podtrzymać ich wiarę w realność istnienia 1 Amerykańskiej Grupy Armii i w oczywistość nadciągającej od strony Dover wielkiej inwazji. A to wynikały jakieś nagłe, nieprzewidziane przeszkody w jej rozpoczęciu, a to rodziły się jakieś rozbieżności zdań i poglądów pomiędzy Eisenhowerem i Montgomerym... Jaki był efekt tego wszystkiego - wiemy już z historii.

Jeszcze przez dziesiątki lat po wojnie wiadomości dotyczące szczegółów Operacji „Fortitude” pozostawały (a niektóre może i po dziś dzień pozostają) tajemnicą sztabów wojskowych i służb wywiadowczych.

A co się stało z „głównymi bohaterami” tego niezwykle przedsięwzięcia wywiadowczo-kontrwywiadowczego?

Jeśli chodzi o płk. Oskara Reile, to w swej wydanej w Monachium, w 1962 r. książce - „Geheime Westfront. Die Abwehr 1935-1945” nie chwali się „doświadczeniami” ze zwerbowanym przez siebie super agentem „Brutusem”.

Co się zaś tyczy samego „Brutusa”, alias „Armanda”, czyli Romana Czerniawskiego, to po czterdziestu latach milczenia zdecydował się w 1985 r. udzielić w Londynie, swym miejscu zamieszkania, obszernego wywiadu dziennikarzowi francuskiego „Paris Match”, Michelowi Leclercq, na temat: kim był i czego dokonał „Brutus”. „To prawda - zwierzył się w którejś chwili swemu rozmówcy - że cały sukces Operacji „Fortitude” zależał w pewnym kluczowym momencie od dwóch osób: hiszpańskiego agenta Garbo oraz ode mnie. Odegraliśmy naprawdę rolę historyczną. Ale to wszystko zdarzyło się tak bardzo dawno temu... I kiedy myślę dzisiaj o tym wszystkim, co wówczas przeżyłem, sam sobie zadaję pytanie, czy to rzeczywiście JA uczestniczyłem w tej całej historii? I mam nieraz wrażenie, że raczej przypomina mi się jakiś dawno oglądany sensacyjny film lub przeczytana książka...”

*) O działalności „Armanda” – „Brutusa” w okupowanej przez Niemców Francji a następnie „zwerbowaniu go przez Abwehrę, pisałem w poprzednim numerze „Kameny”- MD.

(Przy pisaniu powyższego materiału korzystałem m.in. z wywiadu Michela Leclercq „L’Espio qui trompa Hitler”, („Paris Match” z 12 kwietnia 1985 r.) oraz pracy Władysława

Kozaczuka – „Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1923-1939”, Warszawa 1977).

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 3, s. 9.